

Hanka! Hanka! — krzyczało mu w duszy.

A drugi pan, z którym dotąd nie załatwił rachunków za ostatnią wiarę w to, że Hanka jest wcieleniem erdu, zaczął mu podpowiadać: „Idź do Chantantu Hamlecie! Otoczą tam ciebie dziewczynki błękitnookie i palącookie, byleś był „chevalier“ albo „nobler Cavalier“ i byleś miał dużo złotych okrągłaczków

„Trink'ma noch a Flascherl“.

Nieprawdaż, bałwanku głupi, kretynku skazany na zagładę, jednym słowem samczyku luby, wzdychający do lubej samiczki, której na imię Hanka, czy Aranka, że to znacznie zabawniejsze, miłsze i weselsze, a przede wszystkim prawdziwsze i racjonalniejsze życiowo, niż wszystkie twoje sonety razem, czy osobno, wzięte. Bo to jest życie!

Słyszysz panie Szczerski! To nie jest kłamstwo, jak wszelka poezja wogóle, a więc i twoja w szczególności, ale to jest życie!

Bo widzisz, mój chromy ślepcze — prawili dalej drugi pan w duszy Szczerskiego — trzeba, żebyś sobie nareszcie uświadomił w swoim tępym i dla prawd niezbitych nieco nieprzystępnym mózdzku, że złoty okrągłaczek plus końskie zdrowe pożądanie daje w sumie to, co wy poeci nazywacie miłością. Zrozumieci to już dawno wszyscy komiwojażerowie, kupcy i inni porządni ludzie i umieli życie swoje nagiąć do tej biblii, jeno ty niebożatko zrozumieć nie chcesz, czy nie możesz, jako iż sądzisz, że twoje jest królestwo niebieskie, a ubogim w duchu byleś zawsze i być nie przestajesz. Bolesne przejścia i zawody miłosne, to rzeczy nawet pożądane czasem, to taki kawior, który zaostreza apetyt, ale wkładać w te rzeczy życie swoje całe, na to trzeba być urodzonym głupcem, albo lekkomyślnym młodzieniaszkiem, który na jedną stawkę ryzykuje wszystko. Taki pociąg do hazardu, to wprawdzie bardzo poetyczna i piękna cecha twego charakteru, ale na miłość boską, trzeba mieć obok tego chociażby kapkę, choćby odrobinę zdrowego rozsądku, który ty odrzucasz, jako rzecz zgoła zbyteczną.

Hanka! — zawyło w duszy Szczerskiemu!

A właśnie Hanka! — odezwał się pedagog Szczerskiego. — Właśnie Hanka!... Biegnijże czempredzej do domu, siadaj przy biurku i pisz, bo nuż „natchnienie“ ucieknie! A jeśli uda ci się napisać niezgorszy sonet, nie zapomnij przesłać go czempredzej Hance i bacz, aby był kaligraficznie przepisany, bo kobiety mają dziwną słabość do pięknego, czytelnego pisma. To także tłómaczy, dlaczego kucharki odczuwają nieprzeparty pociąg do żołnierzy.

A widzisz, drogi mój przyjacielu! Ja, na twojem będąc miejscu, zamiast zachwycać się rynkiem i wieżami kościołów krakowskich, zamiast wdychać w siebie aromaty sosów rybich, jakie w tej chwili drażnią ci powonienie, zamiast sklamrzyć w rozpamiętywaniu wszystkich urojonych, czy prawdziwych przymiotów Hanka, która była i której niema teraz, poszedłbym sobie teraz na rybkę do jakiejś przyjemnej, a przede wszystkim nieliterackiej i nieartystycznej rodzinie, napiłbym się dobrego wina, jedną, dwie, trzy buteleczki, aż do stanu przyjemnego bezwładu i słodkiej bezprzytomności, a potem przejechałbym się drynduleczką, ażeby troszkę oprzytomnieć i ukryłbym się w jakim zacisznym szantniku, gdzieby mi dziewczynki zatętniały i zaśpiewały, na tę miłą uszom moim nutkę:

„Trink'ma noch a Flascherl“

Szczerskim dreszcz wstrząsnął...

Pod rzęsami poczuł wilgoć, a na duszy zrobiło mu się jakoś luto...

Podszedł na mały placik między kościołem Panny Maryi a świętej Barbary i przystanął.

Cicho tu było i pusto, jak zwykle. W niszy pod

kościółem Maryackim majaczyło mdle światło latarni.

Chrystus się rodził...

Boże! Boże! zapłakało w Szczerskim, że to dziś, w taki wieczór sam... bez Hanka... i tak już zawsze sam!... I dlaczego?... dlaczego?!...



Ha! los!

A jakże los!

— Ostał ci się ino pies — usłyszał za sobą.

W tej chwili stanął przed nim pan w pelerynie z długą, czarną brodą.

Był to Wicek Brzeski, globetrotter, żyd wieczny tułacz, poeta, literat, dziennikarz i robotnik fabryczny w jednej osobie.

— Ostał ci się ino pies — powtórzył Wicek. — Widzę, że cię zajmuje historia gotyku. Cudowny styl! Szczerski nic nie odpowiadał.



— Widzę, żeś znowu wpadł w parszywe bagienko liryczne. Skoda cię! Pluń! Po kiego ci to dybała? Wiem... wiem... co mi odpowiesz... Szczęście... No! no! no! żeś ty jeszcze taki naiwny! Hanka? Hanka! Z pewnością! Rysowe to było... przyznaję, ale to tylko kwestia skóry... Szkoda, że ty koniecznie chcesz się kochać i w skórze i w duszy! To takie rzadkie... prawie niemożliwe...

— Czemu ty mnie Wicek drażnisz? — zagadnął Szczerski zimno.

— Bo mi cię żal, nieboraku!

— Nie żałuj. Nie potrzeba mi niczyjego współczucia! — odparł Szczerski szorstko.

— Ale ja za to potrzebuję twojego. Głodnym. A i napić by się czegoś wypadło. Masz pieniądze — dawaj guldena!

Szczerski otworzył portmonetkę.

— Może ci potrzeba więcej, mam — więc bierz, ile ci trzeba.

— Dawaj pięć!

— Bierz pięć.

— Dziękuję ci — zwrócił, jak będę miał. Co robisz wieczorem? Idziesz gdzie?

— Nie. Nigdzie!

— Toś głupi. Co do mnie to przede wszystkim pójdę coś zjeść, bom głodny od rana. Następnie popiję. — No! Wiesz, że ta Polska wogóle, a Galicya w szczególności do rozpacz doprowadzić może. Tam szła... radość u Francuzów — knajpy pełne... karnawał... a u nas zawsze ta głupia przymieszka przypalonej woskowej świeczki, nieszczerych łez rozrzwienia i wulgarne urznięcie się do szczytu, a potem jazda na pasterkę! W tych prymitywach jest może zdrowie, siła, tradycja i jak się to tam

wszystko nazywa — ale co do mnie — to wściekle tego wszystkiego nie znoszę. I dlatego żegnaj łabędziu mój, któryś oto stanął na drodze mojego żywota niby matka rodzona głodne karmiąca dzieciątko. Żegnaj i stój dalej jak idyota między dwoma kościołami, gap się na murki i marznij razem z twoim ukochanym pieskiem Nygim, który coraz bardziej upodabnia się do swojego pana, bo ma szelma taką samą głupio smutną minę, jak ty!

— A niezapomnij wstąpić do jakiej knajpy żydowskiej, żeby psu kupić mięsa, bo pewnie dziś tak samo nie jadł nic, jak ja — krzyknął Brzeski na odchodem.

I jeszcze zdaleka:

— Ostał ci się ino pies?...

Szczerski miał dość...

Chciał zrazu, jak to miał zamiar iść za miasto, ale teraz po odejściu Brzeskiego ogarnął go jeszcze większy żal. Bo uświadomił sobie w tej chwili, że jedyną myślą jego tej nocy będzie Hanka, i że tej myśli swojej o niej już w sobie wytępić nie zdoła.

Szybkim krokiem zawrócił więc w stronę domu. Pies przypadał mu ustawicznie do nóg i łasił się i kręcił ogonkiem, kontent, że pan wraca. Wszedł do pokoju i zapalił lampę.

Pusto... smutno... och jak smutno!...

Za ścianą śpiewają:

„W żłobie leży, któż go bęty“.

Szczerski otworzył szafkę biurka, wydobyl z niej fotografię i zaczął się w nią wpatrywać długo... długo...

I zapłakał... Nie płakał tak dawno...

Ale Szczerskiemu nie siebie było żal, było mu żal Hanka i nad nią zapłakał, nie nad sobą. Sam był mocny.

A zza ściany szła dalsza strofka:

„Pa-tu znowie prz-y-wajcie
J-mu wd-eczne przy-gry-wajcie“...

I te proste serdeczne słowa koledw utuliły go w sen dobry i cichy i śnił, że Hanka z nim razem tamie się opłatkami i szepce mu w ucho, „mój miły, jedyny, mój Dziś“ — jak go zwykła nazywać.

I tak zasnął z fotografią Hanka w dłoni.

Zbudził się o świcie szarym...

Na biurku leżała fotografia, która z ręką wypadła mu we śnie, a u stóp spała wierna psina, ziożyszy znowu głowinę na przednie łapięta.

Podniósł psa z ziemi i serdecznie go ucałował w czoło... „Nygim mój drogi Nygim“!

To psie czoło pieściła niegdys i całowała Hanka. Ale Hanka nie było...

K O N I E C.